

Witold Gombrowicz

Nieznane artykuły z "Kuriera Porannego"

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (127-128),
329-343

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Witold GOMBROWICZ

Nieznane artykuły z „Kuriera Porannego”*

William Leidy
Wprowadzenie

Witold Gombrowicz, jak wszyscy wielcy prowokatorzy, bez wahania atakował to, co dla innych było świętością. Polska i jej najważniejsze symbole nie stanowiły wyjątku. Gombrowicz, dając do jednego z początkowych fragmentów *Dziennika* z 1953 roku motto z wypowiedzi ministra spraw zagranicznych w gabinecie Mussoliniego, Galeazzo Ciani: „Kraków. Posągi i pałace, które [Polakom] wydają się bardzo wspaniałe – a które dla nas Włochów, są pozbawione większej wartości”, wyśmiewa polską megalomanię¹. Celem podobnych uszczypliwości, tak charakterystycznych dla twórczości Gombrowicza z wczesnych lat 50., była przede wszystkim żarliwie nacjonalistyczna polska emigracja. Od zarania swej kariery literackiej Gombrowicz miał świadomość, że każda prowokacja, aby była skuteczna, potrzebuje adresata, który odegra rolę poszkodowanego². W okresie międzywojennym w roli tej często występował Stanisław Piasecki, redaktor prawicowego tygodnika literackiego „Prosto z Mostu”. We *Wspomnieniach polskich* Gombrowicz przypomina trzy różne przypadki, gdy Piasecki, urażony tym, co autor *Ferdydurke* napisał w swoich tekstach odpowiedział mu w swoim tygodniku³. Gombrowicz tak relacjonuje

* Redakcja „Tekstów Drugich” bardzo dziękuje Pani Ricie Gombrowicz za uprzejmą zgodę na przedruk nieznanymi artykułów Witolda Gombrowicza z „Kuriera Porannego”. Jakiegokolwiek wykorzystanie zamieszczonych tu tekstów Witolda Gombrowicza wymaga osobnej zgody spadkobierczyni praw autorskich Pani Rity Gombrowicz.

1 W. Gombrowicz *Dziennik 1953-1956*, w: tegoż *Dzieta*, t. 7, red. nauk. J. Błoński, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986, s. 11.

2 Opis tego procesu patrz M. Tramer *Literatura i skandal. Na przykładzie okresu międzywojennego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2000, s. 10.

3 W. Gombrowicz *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, w: tegoż *Dzieta*, t. 15, red. nauk. J. Błoński, J. Jarzębski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 125, 126-127, 165.

jedno z tych starć polemicznych: „Opisałem tę wawelską wizytę w felietonie zamieszczonym w „Kurierze Porannym”, nic w nim bardziej istotnego nie było prócz dowcipkowania, za które nacjonalista Piasecki lanie mi sprawił w «Prosto z Mostu»”⁴.

W mojej dysertacji doktorskiej, traktującej o „charyzmatycznym skandalu” i prowokacji, co Gombrowicz praktykował z wielkim powodzeniem, chciałem opisać ten konflikt. Zwłaszcza że był to najwcześniejszy przypadek Gombrowiczowskiego naśmiewania się z Wawelu, klejnotu koronnego polskiej architektury. Jednakże artykuł, o którym mowa, nie znalazł się ani w paryskich *Variach* i odpowiadającym mu, dwunastym, tomie krakowskiego wydania *Dzieł* noszącym tytuł *Proza (Fragmenty). Reportaże. Krytyka literacka 1933-1939*, ani w późniejszych przedrukach tych tekstów, nawet w takich pracach zbiorowych, jak trzynomowa seria *Varia* wydana przez Wydawnictwo Literackie w roku 2004. Dzięki grantowi Uniwersytetu w Stanford udało mi się trafić na zagubiony artykuł *W podwawelskim grodzie*, który, o ile mi wiadomo, od czasu ukazania się w druku nigdy nie był opublikowany w całości; odnalazłem go na archiwalnym mikrofilmie „Kuriera Porannego” w Bibliotece Narodowej w Warszawie⁵. Felieton umieszczono w rubryce, którą Gombrowicz zatytułował „Podróże i przygody”. Stanowi on kontynuację serii krótkich obrazków z podróży, jakie Gombrowicz pisywał tamtego lata dla *Kuriera Porannego* (poczynając od *Decyzji i Drzewa genealogicznego* aż po *Niesmak w permanencji* i *U pana Jakuba*). Za część tej serii można też uznać *Wywiad na trawie*, który był pierwszym reportażem, jaki Gombrowicz dla tej gazety napisał – artykuły te zawsze były drukowane na trzeciej stronie⁶.

Zachęcony tym odkryciem, szukałem dalej, przeglądając inne egzemplarze „Kuriera Porannego” z roku 1937. Znalazłem jeszcze dwa teksty z cyklu „Podróże i przygody” Gombrowicza całkowicie pominięte w istniejących bibliografiach. Oba artykuły, *Brak kąpiel* i *Szczyty – pensjonarki*, dotyczą pobytu Gombrowicza w Tatrach⁷. Moje podejrzania rosły, postanowiłem więc przejrzeć wszystkie numery „Kuriera Porannego” z okresu między lipcem 1934 a październikiem 1938 roku, aby poszukać innych nieznanymi artykułów Gombrowicza. Udało mi się jeszcze

⁴ Tamże, s.165.

⁵ „Podróże i przygody”: *W podwawelskim grodzie*, „Kurier Poranny” 17.09.1937 (nr 258), s. 3. Później zdałem sobie sprawę z tego, że Agnieszka Stawiarska wcześniej wspomniała o tym artykule w swojej książce *Gombrowicz w przedwojennej Polsce* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s. 166-167), jednak błędnie lokalizuje odpowiedź Piaseckiego w „Prosto z Mostu” – ukazała się ona w numerze 45, a nie 46 tego pisma.

⁶ Wcześniej Gombrowicz napisał do tej gazety ponad dwadzieścia recenzji literackich, lecz były one umieszczane w drugiej połowie numeru, w części kulturalnej.

⁷ „Podróże i przygody”: *Brak kąpiel*, „Kurier Poranny” 25.09.1937 (nr 266), s. 3; „Podróże i przygody”: *Szczyty – pensjonarki*, „Kurier Poranny” 9.10.1937 (nr 280), s. 3.

Gombrowicz Nieznane artykuły z „Kuriera Porannego”

odnaleźć jeden tekst: niepublikowaną dotychczas recenzję z roku 1937 pod tytułem *Podróż w obrębie niemocy. Po między zdrowiem i chorobą*. Jest to recenzja z obecnie już zapomnianych pamiętników France Pastorelli *Dostojeństwo choroby*⁸. Przeglądanie następnych roczników nie przyniosło już niczego dodatkowego. Mogę jedynie skorygować parę pomniejszych błędów bibliograficznych, nieustannie powielanych od czasu pierwszej publikacji w paryskich *Variach*⁹.

Cztery artykuły drukowane poniżej w kolejności ich publikowania i bez skrótów ukazują się po raz pierwszy od roku 1937 dzięki łaskawej zgodzie pani Rity Gombrowicz.

Przełożyła *Barbara Roehr*

Uwagi edytorskie

Ortografię i interpunkcję poprawiono zgodnie ze współczesnymi normami.

⁸ „Kurier Poranny” 19.05.1937 (nr 137), s. 6.

⁹ *Płomień skrada się ku ojczyźnie* został opublikowany w „Kurierze Porannym” z 8 sierpnia 1935, w numerze 218 (a nie w numerze 216 z 6 sierpnia, jak dotychczas twierdzono); *Posąg człowieka na posągu świata* ukazał się w „Kurierze Porannym” z 2 grudnia 1935, w numerze 334 (a nie w numerze 333 z 1 grudnia).

Podróż w obręby niemocy.
Pomiędzy zdrowiem a chorobą¹⁰

Dostojeństwo choroby France Pastorelli¹¹ należy do tych książek, które nie potrzebują żadnych szczególnych zalet artystycznych, aby stać się najbliższą i poufną lekturą bardzo wielu osób – ponieważ dotyczą problemów prawdziwie bolesnych. Istnieją sprawy do tego stopnia jeszcze nieurządzone w naszej psychice, tak męczące, iż wszystko, co o nie potrąca, odczuwamy ostro, jakby ktoś nas uraził w bezbronne miejsce duszy. Pani Pastorelli jest nieuleczalnie chora na serce. Rządziej lub częściej, ale zawsze niespodziewanie, nawiedzają ją ataki, podczas których życie jej wisi na włosku i – jak mówi – jest rzeczą stwierdzoną, że żadna siła ludzka nie zdoła usunąć tej groźby, wiszącej nad nią dzień i noc i sprawiającej, że żyje jak na gruncie podminowanym, który w każdej chwili może być wysadzony w powietrze. Choroba, pogarszająca się stale, od kilku lat nie pozwala jej opuścić łóżka, a często zmusza do leżenia w ciągu długich okresów na wznak i bez ruchu.

Oto stan faktyczny, z którego powstała książka – trzeba jednak dobrze uprzytomnić sobie całą rozległość i różnorodność cierpienia, wszystkie jego rozgałęzienia, konsekwencje, reperkusje, wszystkie szczegóły cielesnej wegetacji p. Pastorelli, by pojąć, z jak egzotycznej krainy dochodzą [do] nas jej słowa. Książka napisana przez człowieka ciężko i nieuleczalnie chorego nie jest w każdym razie książką napisaną przez człowieka żyjącego normalnie i [o] przeciętnym zdrowiu. Ta prosta prawda sprawia, iż *Dostojeństwo choroby* czytamy zupełnie inaczej niż zwykłą opowieść o dalekich podróżach i zamorskich cudach.

Jednakże nieuleczalna choroba i związane z nią egzotyczne stany świadomości nie jest już nam tak obca, jak przed wiekami, gdyż związek człowieka z człowiekiem jest dziś nieskończenie silniejszy. Jesteśmy mniej obcy cudzemu cierpieniu niż praojcowie nasi, którzy zadawali potworne tortury, nie czując, co robią, i właściwie nie ma dziś zdrowego, który by był zupełnie izolowany od choroby – gdyż najzdrowszy nawet czuje i zna nie tylko własne zdrowie, lecz i cudzą chorobę.

¹⁰ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 19 maja 1937, nr 137, s. 6.

¹¹ France Pastorelli *Dostojeństwo choroby*. Przekład autoryzowany Anny Leo. Wyd. Księgarni św. Wojciecha, Poznań. (Przypis W.G.) – Książka w polskim przekładzie wyszła w 1936 roku. Przedmowę napisał Piotr Sanson. Oryginał zatytułowany *Servitude et grandeur de la maladie* ukazała się w Paryżu w 1933 roku nakładem wydawnictwa Plon.

Zwierzenia pani Pastorelli są jedną więcej próbą zamachu chorych na świadomość zdrowych. Autorka zakłada sobie dwa cele: z jednej strony pragnie jak najlepiej wtajemniczyć zdrowego w sytuację wywołaną cierpieniem, z drugiej – chce przezwyciężyć i opanować słabość cielesną za pomocą wartości duchowych, ukazując moralność, podniosłość i piękno, a nade wszystko żywotność choroby.

Rzecz dziwna, jak bardzo jesteśmy ciekawi błahych nawet szczegółów codziennego życia p. Pastorelli i jak dalece wciąga nas każde z tych drobnych udręczeń, o których pacjentka informuje pobieżnie i zdawkowo, śpiesząc do filozoficznych i etycznych wniosków. Dziwne również, iż ta jej filozofia i etyka, ufundowana przeciw na nie byle jakim osobistym doświadczeniu, jest dla nas jedynie dość nieważnym komentarzem. Autorka nie jest tu całkiem bez winy. Pani Pastorelli, uczennica Vincenta d’Sudy, obdarzona jakoby wspaniałym talentem pianistowskim i w chorobie pozostała artystką. Cięży na niej balast niewyżytego powołania i poczucie jakiejś wyższej misji. Nie ma nic naturalniejszego od tych procesów sublimacji, kompensacji (i jak tam jeszcze zowie je psychologia), za pomocą których człowiek na innych polach usiłuje powetować sobie utracone dary życia. Ale autorka nie pokazuje nam ich podszewki, występuje już z gotowym rezultatem, powiada – patrzcie, oto do jakich doszłam przemyśleń, jaką postawę wam zalecam. I wskutek tego czytelnik, któremu nie okazano, jak ten rezultat etyczny został osiągnięty, odnosi się doń z pewną nieufnością. W zbyt harmonijnych, podniosłych i żarliwych okresach zamyka p. Pastorelli swoje nieszczęście, aż niejednokrotnie podejrzewamy, iż jest to tylko... opakowanie.

Istnieje wszakże inny i dużo gruntowniejszy powód, dla którego część ściśle informacyjna utworu bierze nas o wiele bardziej niż nadbudowa etyczna i estetyczna. Wobec problemów tak beznadziejnych i nieuleczalnych czujemy całą bezsilność przeciętnego ducha – nie tego wyjątkowego i genialnego, lecz zwykłego – i wiemy, że cokolwiek by się powiedziało, będzie to zawsze w mniejszym lub większym stopniu frazes. Im bardziej dramatyczna jest rzeczywistość p. Pastorelli, tym mniej przekonujące wydają się słowa. W obliczu pewnych zbyt już ostatecznych nieszczęść ludzie zwyczajnie będą zawsze nieporadni i niezręczni, gdyż przekraczają one normalną pojemność ich duszy, a wszelki wysiłek załatwienia sprawy w myśl takich czy innych postulatów etycznych odczuwać będą jako co najmniej przedwczesny, ponieważ istotą tych spraw jest właściwie to, że się nie dają załatwić i uporządkować. Dlatego wszelka zbyt określona forma narzucana nam tutaj w imię najpiękniejszych choćby ideałów będzie zawsze, niestety, nieco sztuczna i być może w efekcie praktycznym bardziej krępująca nasz humanitaryzm niż przeciętny, zwyczajny tryb postępowania. Fałszywy głos nie przeszkadza nam póty, póki nie zaczniemy śpiewać.

Pani Pastorelli żąda może za wiele od siebie i swego otoczenia. Egoizm, niezrozumienie, niedostateczność współczucia, miłości, poświęcenia oraz inne moralne wrzody tworzące się w środowisku chorego są równie nieuniknione, jak sama choroba, są po prostu refleksem choroby. Bezsilność zdrowego wobec chorego jest akurat taka sama, jak bezsilność chorego wobec zdrowych. I jedyne, co tu pozosta-

Archiwalia

je do zrobienia, to właśnie jak najściślej wtajemniczenie ludzi we własną sytuację i przekazanie im bez komentarzy własnej rzeczywistości. Na gruncie lepszej świadomości, bliższego jeszcze niż dotychczas związku z cudzą niedolą, wykształci się stopniowo i w sposób bardziej naturalny coraz subtelniejsza i lepsza forma obcowania zdrowych i chorych, szczęśliwych i nieszczęśliwych. Ciekawość, która każe nam wyłapywać z tej książki drobne, informacyjne szczegóły, nie jest bezowocna.

Lecz styl autorki nie sprzyja drobnej informacji, gdyż jest zbyt wysoki. Zbliżamy się do łoża chorej w nadziei, że usłyszymy jej własną, subiektywną, małostkową prawdę, zamiast tego jednak widzimy, iż chora wznosi się ponad swój stan i pragnie być arbitrem, wyznaczać obiektywnie prawa i obowiązki obu stronom. Nie brak wprawdzie w tekście doskonałych obserwacji i bystrej charakterystyki, nie trzeba też mniemać, że wysoka kultura p. Pastorelli nie uchroniła jej od nazbyt taniej wyższości – nie wszystko, co mówi, jest głęboko przepojone chrześcijańską pokorą. Ale paradoksem podobnie altruistycznego i szlachetnego nastawienia jest, iż w praktycznym wyniku służy ono wyłącznie autorowi, jego przyozdabia, uszlachetnia i czyni lepszym od samego siebie. Utwór ten będzie mniej pożyteczny dla ludzkości, niżby mógł być, ponieważ... zanadto chce być pożyteczny.

Przekład p. Leo płynny i wierny.

Podróże i przygody
W podwawelskim grodzie¹²

Pociąg zwalnia i kończy pęd jazdy – krzyczą głosy fachowców z zewnątrz. W pociągu ja – podróżnik i pielgrzym samotny z niewyraźną miną. Oto moja noga po raz pierwszy w życiu wyciska swój pocałunek na bruku krakowskim. Uroczysta chwilo! Wkrótce potem – godzina 11 w nocy – wychodzę ze starożytnego hotelu Pod Różą i okiem rzucam na miasto. Starodawna wieża z jednej strony, a druga jeszcze bardziej starodawna z drugiej strony. Rynek...

Co uderza pielgrzyma, który w zadumaniu wstępuje nocą na Rynek krakowski, to pokaźna ilość przedstawicielek zawodu wesolej córki Koryntu. O 11 miasto już śpi, przechodnie koncentrują się w domach i na opustoszałym bruku pozostają same te przedstawicielki, wybuchając od czasu do czasu chichotem i bombardując zalotami pustą przestrzeń. Co je skłania do pozostawiania na ulicy, gdy nie ma nikogo, kto by mógł być ich celem i obiektem? Czemu, nieuzupełnione nikim, wyrzucają swe pradawne i odwieczne chichy w pustkę? Przyzwyczajenie? Nałóg? Mistyka jakaś? Zdziwiony, odchodzę chyłkiem.

Lecz zaraz inna rzecz, bardziej nieprawdopodobna, szalona, wobec której przeżalone zmysły rozbiegają się i rozpraszają w tańcu, uderza moje naiwne oko podróżnika. Na Rynku krakowskim, pośród domów powleczonej patyną stuleci, nagle, ni stąd ni zowąd, wystrzela w miejscu najbardziej widocznym arcynowoczesna kamienica w stylu betonowo-szklanym. Kto ją wybudował? Dlaczego? Po co? Gdzie cel, sens? Komu zależało? Czy po to, żeby zadziwić pielgrzymów? Zdumiony, odchodzę chyłkiem. A nazajutrz kieruję swe nogi na Wawel.

Milcz pióro. Dosyć już wysnuto notorycznych zachwyty nad pięknem zabytków i majestatem wieków. Lecz muszę powiedzieć, że gdy pielgrzyma, wstępującego na wzgórze wawelskie, ugodzi z góry w samą głowę zespół spiętrzonych wież, murów i blanków... Dosyć, już wiadomo. W sieni przywdziewam nieuniknione pantofle i wraz z garścią innych pantoflarzy wkraczam w brzemienne historią komnaty. Ze mną pewien znajomy intelektualista, jakaś paniusia dosyć tłusta w rodzaju gospodyni lub zarządzającej oraz kilku najzupełniej neutralnych panków.

Infernalna pielgrzymka przez majestatyczny Wawel na samo dno małostek! Przewodnik nas wiedzie, wskazując tu i ówdzie palcem na to i owo dzieło sztuki. Lecz nic się na tym nie znam, nie umiem ocenić, ignorancja moja w zakresie sty-

¹² Pierwodruk: „Kurier Poranny” 17 września 1937, nr 258, s. 3.

łów i epok jest kompletna, powszechnie przyjęta, a poza tym za dużo cudów naraz. Oko się przesuwają od jednego arras do drugiego, lecz na każdy arras wypada zaledwie parę sekund. Próbuje nastroić się historycznie, skupić, skoncentrować, boć przecie to siedziba królów, nie mogą jednakże, albowiem doczesność dopieka mi w osobach moich współpielgrzymów. Otyła gospodyni najwidoczniej pragnie się popisać, zadaje inteligentne pytania, jedno zgani, a drugie pochwali i stopniowo wybija się na czoło zwiedzających... Podrażniony tym jeden z cichych dotychczas, nieznanych pielgrzymów, również rozpoczyna wygłaszanie sądów obserwacji. Podrażniony tym mój przyjaciel intelektualista rozpoczyna ciche ironizowanie z boku za pomocą uśmiechów i sarkazmów. Podrażniony tym (gdyż wiem, że i on właściwie też niewiele zna się) odchodzę w kąt sali i odtąd zwiedzam już same kąty z dala od pielgrzymki. Lecz zwiedzając kąty, zyskuję arystokratyczną minę konesera, wobec czego inni także stopniowo, nieznacznie, rozpraszają się po kątach. Pokątna pielgrzymka, zarażona duchem rywalizacji, rozdrażniona...

O, o, o! Lecz potęga człowieka jest taka, iż nawet na Wawelu niepodobna odebrać się od osób obcych i przygodnych, nie możesz kontemplować czysto, musisz wieść tę nieustanną, zastarzałą rozgrywkę o lepszość. Nie lubię mądrali, którzy określają to ważne zjawisko bagatelnym mianem snobizmu. – Ach – mówią – nie brakuje snobów, cóż z tego, że ludzie snobują się i na Wawelu? – Lecz gdybyśmy mieli to wzajemne międzyludzkie zadrażnienie, tę rywalizację, nazywać snobizmem, w takim razie trzeba przyznać obiektywnie, iż w galeriach i muzeach jeden czysty kontemplator przypada na dziesięć tysięcy snobów, którzy czerpią rozkosz ze sztuki nie bezpośrednio, lecz tylko w ten sposób, iż służy ona utwierdzeniu ich personalnej wartości wobec innych ludzi, określeniu stopnia w hierarchii kulturalnej¹³.

I właśnie w muzeach, w miejscach historycznych, człowiek specjalnie podatny jest małostkom, a to z tej przyczyny, iż czuje swą niemoc wobec wielkości i sztuki, nie umie zasymilować, nikłość jego, nędza, ignorancja wypełza na jaw, gryząc go jak żmija i wpychając w tym większe małostki. Samopoczucie nasze w tych miejscach jest [fragment nieczytelny] i dlatego drugi człowiek podobny nam przyciąga nas z siłą niezwalczoną... Myślę, że zacny *rex bene*, król Zygmunt, bez zgrozy spogląda z wyżyn majestatu na pokątny taniec małostek pielgrzymich w komnatach królewskich. Czyliż bowiem ongi nie było tutaj drobnych ambicji, zadrażnień, spajających i łączących ludzi? Opuszczamy królewskie podwoje związani już chyba na wieki więzami delikatnymi, lecz mocnymi. Nienawidzę natrętny panusi,

¹³ W oryginale po słowie „muzeach” jest kropka, po której zaczyna się kolejne zdanie od słów „Jeden czysty...” („Lecz gdybyśmy mieli to wzajemne międzyludzkie zadrażnienie, tę rywalizację, nazywać snobizmem, w takim razie trzeba przyznać obiektywnie, iż w galeriach i muzeach. Jeden czysty kontemplator przypada na dziesięć tysięcy snobów, którzy czerpią rozkosz ze sztuki nie bezpośrednio, lecz tylko w ten sposób, iż służy ona utwierdzeniu ich personalnej wartości wobec innych ludzi, określeniu stopnia w hierarchii kulturalnej”). Jednak biorąc pod uwagę sens wypowiedzi i poprawność językową tworzą one jedno zdanie.

a jeden z panów, który zdołał zachować pewną przyzwoitość wewnętrzną i godność, jest mi tak przyjemny, że chyba ucałowałbym go. Wawel złączył nas, zczepił i zahaczył.

Ciekawą jeszcze muszę wam przekazać rozmowę z pewnym starym kustoszem-emerytem. Kiedym mu się zwierzał, cicho pojękując, z mojej małostkowości na Zamku Królewskim, rzekł mi: – Owszem, zdarza mi się słyszeć co pewien czas jęki i ubolewania, iż pokolenie dzisiejsze jest małe, iż nie ma wielkości w sztuce etc. Dziwię się ogromnie pokoleniu, które tak nędzne wystawia sobie świadectwo. Być małym, a jęczeć z tego powodu, że się nie jest wielkim, być małym, a wołać o wielkość i drobnym, piskliwym głosikiem domagać się, aby ktoś za nas był tytanem – oto rola dosyć zabawna i znamionująca już pewną słabość. Wielkość przstraszy się tych wrzasków i ucieknie od was na dobre. Człowiekowi średniej miary przystoi pewna dyskrecja, nie tyle powinien on domagać się wielkości, ile raczej dbać o to, aby się samemu nie ośmieszać i nie kompromitować wobec wielkich spraw i wielkich ludzi. Nie ma w tym nic dziwnego, że muszka nie pochłonie stonia i że przeciętny przechodzień nie zdoła w pełni zasymilować Wawelu. Nieporadność pańska w tej siedzibie królów jest faktem psychologicznym i jako fakt winna być wzięta pod uwagę bez zbędnych jęków i dąsów. Budujmy rzeczywistość naszą z faktów, nie zaś z jęków i starajmy się raczej nadać pozytywny sens i walor drobiazgom naszym, niżli wzdychać za czymś, co nigdy nie stanie się naszym udziałem. Ten pan zdaniem moim – zakończył stary, śmiejąc się bezzębnie – kto przestał na swoim.

Podróże i przygody
Brak kąpiei⁴

Czorsztyn, Czorsztyn... dlaczego właśnie przyjechałem do Czorsztyna – myślałem półsennie – jaka moc pędzi mnie, pielgrzyma, przez coraz to nowe okolice?... Cóż mi obchodzą okolice?... Nie, nie, wyznam szczerze, że nie okolic, ale nowych ludzi pożądałem, och, jakże spragniony byłem odświeżającej kąpiei w ludziach nowych i nieznanym! Gdyż człowiek regeneruje się tylko w kontakcie z innym człowiekiem, nowym i nieznanym. Z nowym możesz być nowy, on cię nie zna, nie wie, jakim byłeś dotychczas, możesz z nim przybrać nowy sposób bycia, możesz na przykład z sarkastycznego i sardonicznego przedzierzgnąć się w tkliwego, serdecznego. Czyż nie po to jeździmy za granicę? Z dala od starych znajomych możesz z nowymi być nowy, chyba że cię stary zdybie gdzieś przypadkiem i zawoła: – Co? Ależ on jest przecież zupełnie inny! Znam go od dzieciństwa!

Ta potrzeba nagła, paląca, odświeżającej kąpiei w nowych, obcych, zapędziła mnie aż do Czorsztyna. Wzgórza, a na wzgórzach dwa zamki, wpatrzone w siebie. Przywoziłem dwie pary tenisowych spodni, dwie pary spodni flanelowych i nazajutrz rano wyszedłem zahaczać, zatrać, wciągać się w nowe znajomości. Głupi – nie wiedziałem, że ta miejscowość jest samowystarczalna. Przebywają tu jeno pary narzeczonych i kochanków, zatopionych w sobie, w przygotowawczym stadium rozmnażania – lub też ludzie, którzy już się rozmnożyli i chodzą rodzinnym stadkiem z boną oraz z dziećmi, a wzrok mój obrażony czuł się widokiem nieustannych namiętych całusów narzeczeńskich, małżeńskich lub czysto miłosnych w przydrożnych krzakach. Więc postanowiłem opuścić ten raik dla ludzi niepotrzebujących ludzi i przenieść się do Zakopanego.

Tam się odnowię, odświeżę!...

Ale w naiwności swojej nie wiedziałem, jak niesłuchanie trudno i sztywno jest w życiu. Przybywszy do Zakopanego i zamieszkałem na razie w hotelu i w tzw. *pantalons de flanelle*¹⁵ wyszedłem na Krupówki, a wzrok mój się sycił widokiem wspianego tłumu. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, ani jednego starego, sami nowi, nieznanymi, obcy... Thalassa! Tu się skąpię i odświeżę.

Kilka interesujących twarzy mignęło się w oddali – puściłem się za nimi w poгон, lecz zaledwie dopadłem, już odpadłem! Przebóg – zapomniałem o pretek-

¹⁴ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 25 września 1937, nr 266, s. 3.

¹⁵ Franc.: spodnie z flaneli.

stach, wszakże bez pretekstów niepodobna zawrzeć znajomości, zwykły głód człowieka nie jest żadną formalną podstawą. Ale z drugiej strony wstydziłem się nawiązywać za pomocą pytań jak np.: – która godzina? czy daleko stąd do Jaszczurówki? Więc tylko chodziłem i nawiązywałem wzrokiem z daleka, jak głodny.

Do wieczora zahaczyła mnie wzrokiem, a nieraz i słowem, spora liczba mężczyzn i kobiet, podobnie jak ja spragnionych odświeżającej kąpieli, niestety jednakże musiałem ich odstrychnąć, albowiem nie mieli pretekstów. Jakże trudny jestem do zaczepienia, zahaczenia, jak odosobniony! Postanowiłem tedy przejrzeć listę gości – jest parę osób na świecie, które mnie nie znają, lecz z którymi miałbym pewną formalną podstawę... tych chciałem zahaczyć. Lecz kiedy następnego ranka udałem się do klimatyki, okazało się, że listy gości nie ma – skasowana – od paru lat już skasowana!

Skasowano listę? Nie, nie, niepodobna!

A jednak lista skasowana!

Jakiż to teoretyk magistracki nieznający życia i świętych jego potrzeb gwoli jakimż drobnym oszczędnościom skasował zbawczą listę? Czy skasowano ją dlatego, że zawsze był do niej ogonek ludzi poszukujących ludzi i rozglądających się za ludźmi? Czyliż ci panowie nie wiedzą, że dobór towarzystwa w uzdrowiskach ważniejszy jest od pejzażu oraz udogodnień? Gdzież jest ten minimalny kawałek rynsztoka, ta lampa, ten słupek, który postawiono za groszową oszczędność na liście? O słupie, gdybym cię odnalazł, jakże chętnie bym cię spoliczkował!

Ale nie ma, nie ma... Pozbawiony busoli i towarzyskiego kompasu, nie tylko nie wiedziałem teraz, z kim mógłbym nawiązać, co gorsza nie wiedziałem również, kto ze starych znajomych tu bawi, kogo i gdzie mam się wystrzeżać. Znalazłem się na bruku zakopiańskim, jak gdyby oślepy; postanowiłem przenieść się z hotelu do pensjonatu i wybrałem pensjonat bardzo zaludniony. Ale życie gorsze jest od diabła. Miast odświeżającej kąpieli – męka i jeszcze raz męka – i męczarnia!

Dwadzieścia osób przy stole spragnionych, łaknących zahaczenia i słodkiej kąpieli wzajemnej, napompowanych potrzebą towarzyskości aż po białka oczu. I proszę: – Czy pani była na spacerze? Wczoraj byliśmy na Giewoncie. – O, o, o! Każdy chciałby, ale się boi, nie można nic powiedzieć ani nawiązać w jakikolwiek sposób, gdyż każdy każdego mustruje i trzyma w przyzwoitej odległości.

Dwa żelazne prawa trzymają na uwięzi całe towarzystwo. Każdy się lęka, by druga osoba nie wzięła go za głupca nietaktownego i jednostkę niższej sfery. Każdy o każdym skłonny jest przypuszczać, iż tamten jest właśnie głupcem, nietaktownym lub jednostką niższej sfery. Istnieją słóweczka gaszące i nieoszacowane, jako to – nietakt, snobizm, poza, sztuczność, nieproszona szczerłość, zarozumiałość, zbytnia pewność siebie, nie jestem ciekawa, to banalne, znane już, pani to umyślnie mówi, pan obraża – za pomocą których osoby wzajemnie osadzają się na miejscu. Osadzone na miejscach swoich nie mogą się skąpać. A przeto: – Czy pani była na Giewoncie? O, o, o! I udzielają się sobie li tylko na płaszczyźnie patefonu, wyuczonych gadek i kawałów, zapytań o sen i apetyt i tym podobnych bezdusz-

Archiwalia

nych zabiegów. Lęk przed błędem, obawa ryzyka, żądza jakiejś fikcyjnej idealnej poprawności wtrąca w zdawkowość, hamuje, szpuntuje, knebluje, usztywnia i kolek wsadza do środka. Precz, precz – zaszpuntowany i zakneblowany, opuszczam progi pensjonatu.

I chyba nie ma już ratunku. Idę Krupówkami, ściemnia się, w dali nad górami burza i pioruny raz wraz wałą w nieuniknione, mityczny nos Giewontu. Bez kąpieli idę chyłkiem, brudny i nieodświeżony, po beznadziejnym, starym i brudnym chodniku. Gdy wtem z boku doskakują ludzie, biorą mnie w ramiona: – Serwus! Jak się masz! Na długo? My tu całą kompanią! – Ha, starzy, brudni znajomi! I muszę powrócić do starej, brudnej, zużytej miny mojej – witaj, mino!

W nocy postanowiłem uciekać – i to uciec w góry. Od dzieciństwa miałem i żywiłem w sobie niezmierny pęd do wyniosłości, zatem na Kasprowy wywinduję się kolejką linową, tam zamieszkać dni parę – i skapię się w szczytach, gdy w ludziach skąpać się nie mogłem.

Podróże i przygody
Szczyty – pensjonarki¹⁶

Ku szczytom! Na stacji w Kuźnicach wychodzę na maleńki „peron” i zaraz łapie mię za serce stalowa lina, gruba nieomal jak noga, która z wysokości spuszcza się ukośnie i zda się, że za chwilę traśnie pod własnym ciężarem. Rzecz cała wygląda jak dziecinna zabawka, a człowiek maleje i czuje się poniekąd lalką.

Dosiadłem małego wagonika, który nieco zachybotał mi się pod nogami. Zapraǳiałem wycofać się i wrócić do domu. Ale już za późno. Ruszamy – i na skutek jakichś niepojętych cudów nowoczesnej techniki wagonik w ruchu przestaje się chybotać, równo, sztywno i pośpiesznie podciąga się i dąży wzwyż! I tylko co pewien czas przy mijaniu słupów następuje nagłe i niejasne przeweksłowanie w połączeniu z chwilowym i mglistym obsunięciem się wagonika, przy czym wrażliwsze osoby wydają nieznaczne i mętne jękiwania lub wzdychy. Pod nami przepaść wzrasta, pejzaże otwierają się na prawo i lewo, zewsząd wypełza przestrzeń... Lecz przestrzeń nie chwyta za gardło i ja, który bez dreszczu nie mogę spoglądać z szóstego piętra kamienicy, w kolejce czuję się jak w aeroplanie, dość bezpiecznie – gdyż duża przestrzeń mniej jest kąśliwa niż mała. Zresztą małe dzieci jadą wraz z mną i bynajmniej nie kwilą.

Otóż w oddali i na końcu liny ukazuje się wyniosły budynek na wyniosłym szczycie – Kasprowy!

Dobijamy. Wysiadamy. Oto noga moja wyciska swój całus na szczycie Kasprowego. Uroczysta chwilo! Z walizką w rękę zapuszczam się w głąb nowoczesnego schroniska-hotelu i dają mi pokój wypełniony po sufit ośmioma łózkami. Sam na ośmiu łózkach wydaję się nieco roztargniony, rozmnożony. Wychodzę. Panorama. Przede mną, jak okiem sięgnąć, przestrzeń. Za plecami – przestrzeń. Po prawej ręce – przestrzeń. Słońce nadmiernie przypieka. Wtem patrzę, co to z dołu czołga się ku górze do moich stóp, by wycisnąć na nich wiernopoddańczy całus. Chmura. Góry nikną. Mgła nieprzenikniona, zupełne mleko. Zimno i wilgotno. Ciemno. Wracam do schroniska. W pokoju chłodno, zimno i wilgotno, odór szesnastu materaców z morskiej trawy wzmagą moje roztargnienie. Zamierzam się skupić i skoncentrować rozproszone zmysły, gdy wtem chmura mija, słońce, gorąco, upał, widok, panorama, wybiegam ze schroniska.

Lecz nadciąga chmura, zimno, mgła, mleko, wilgoć, nic nie widać, wracam do schroniska. Pod wieczór ostatni turyści zjechali na dół ostatnim wagonem, a ja

¹⁶ Pierwodruk: „Kurier Poranny” 9 października 1937, nr 280, s. 3.

zostałem sam – jedyny śmiałek na noc. Ziąb się wzmaga (temperatura czasem spada tutaj w nocy do 0°) i nieprzenikniony tuman mleczny sprawia, iż doprawdy nie wie się, gdzie się jest. Więc tylko mózgowo delektuję się bezmierną wyniosłością, noc spędzam pośród szesnastu materaców na dumnych zamysłach i rzucaniu rekawicy całemu światu...

Rankiem patrzę – nic nie widać, mleko, mgła, wilgotno i nigdzie żadnej panoramy. Z przekleństwem z powodu wielkiej niepogody, na oślepek cokolwiek, zaczynam się spuszczać po stromym zboczach i wtem patrzę – pogoda, słońce, upał, panorama. Przede mną rozkoszna dolina po brzegi wypełniona słońcem. Ach! Myślałem, że słota, a to tymczasem tylko szczyty gór pławią się w chmurach. W dole jest rozkosznie.

Odtąd zamieszkałem na Hali Gąsienicowej i naprawdę jest tam pewna specyficzna poezja, której nie napotkasz ani nad brzegiem morskim, ani też w kurortach. Tłum pielgrzymów przeciąga tędy bez ustanku w dążeniu na szczyty, a wszędzie brzmią echowate śmiechy i nawoływania. Słońce przypieka mocno. I wytwarza się jakaś słodka mieszanina górskiej samotności z przyjazną i miłą stadowością ludzką, ludzie jakoś łatwo i bez trudu mieszają się ze sobą, równie łatwo odrywają się... a kiedy wieczorem wielka sala schroniska zaroi się tłumem opalonych, zmęczonych i zadowolonych, zdawać by się mogło, iż schronisko nuci cichą pieśń ukojenia...

Lecz dopiero kiedy nadszły pensjonarki, hala się rozświetliła kulminantą swoich uroków. Nadszły któregoś wieczora w liczbie co najmniej piętnastu, a może dwudziestu, i z trwogą zerknąłem na nie znad mego talerza – gdyż w Polsce nie można bez trwogi spoglądać na młodzież, nigdy nie wiadomo, jaką zgrywę, fałsz, niedostrojenie ujrzysz, gdy niebacznie rzucisz okiem na wyrostka lub podlotka. Ale przyznać muszę, iż pensjonarki, które nawiedziły halę, były najlepsze z tych, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć w życiu. Żadnego fałszu! Żadnej kakofonii, afektacji i minoderii! Zręczne w ruchu i zgrabne w postaci, a w chichotach, żartach i zalotach swoich odznaczały się pewnym szlifem, pewnym wyrobieniem, tak rzadko spotykanym w naszym kraju pośród pensjonarek. Nie nieśmiałe, nie przesadne – ale gładkie, równe, przyjazne. Jakież bogactwo typów! Jakaż świetność biła z pensjonarek, umiejących mówić, śmiać się, ruszać, pewnych siebie i zadowolonych z siebie. Błogosławione bądźcie, pensjonarki, wy, nadziejo lepszej przyszłości! Rozświetliły i rozchichotały Halę, po czym wyruszyły na zdobycie okolicznych szczytów pod przewodnictwem starego górala-przewodnika.

Żegnaj, halo! W przeświadczeniu, że oto osiągnąłem najwyższe moje doznanie i że nic doskonalszego nie może mnie już spotkać, postanowiłem wracać do Warszawy. Przebyłem gehennę kupowania biletu na stacji w Zakopanem, wsadziłem siebie w tłok pociągu, zgłosiłem swój akces do symfonii przekleństw, krzyków, jęków, pisków i stojąc na dwóch własnych oraz jednej cudzej, przydepniętej nodze, popędziłem w dół i na północ. Żegnajcie, niniejsze kanikularne wspomnienia, pełne głębszych myśli, subtelnych aluzji i różnorodnych wniosków w formie nonszalanczej ukrywające tyle... hm... bo ja wiem, czego.

Abstract

Witold GOMBROWICZ
Rediscovered articles from *Kurier Poranny*

Introduction: William Leidy (Stanford University)

Presented here for the first time since their original publication in 1937 in *Kurier Poranny* are four articles written by Witold Gombrowicz. They were rediscovered in August 2010 in the microfilm holdings of Warsaw's Biblioteka Narodowa by William Leidy. In Leidy's brief introduction, he discusses both the original context of the articles in relation to Gombrowicz's other interwar publicistic writings as well as the circumstances that led him to search for them. Three are feuilletons originally published under the rubric "Podróże i przygody" – they represent a continuation of a series of short travel vignettes Gombrowicz wrote for *Kurier Poranny* in the summer of 1937 (the first four in the series can be found in *Varia*). "W podwawelskim grodzie" is a piece about Gombrowicz's visit to Kraków and Wawel Cathedral. The majority of the feuilleton is devoted to the interactions within a tour group at Wawel: Gombrowicz describes how they were overwhelmed by the amount of masterpieces housed in the cathedral, and the penchant for members of the group to show off their intelligence in order to appear more culturally refined and superior to the others. "Brak kąpieli" details the first half of Gombrowicz's trip through the Tatras, which ends in Zakopane. The most Gombrowiczian point in the feuilleton is the claim that man is regenerated only through contact with a new person, in part because only then can he choose a new guise for himself. "Szczyty – pensjonarki" covers the second part of Gombrowicz's trip through the Tatras. Among other things, Gombrowicz writes about the solitude of the peaks, the camaraderie between climbers, and the sudden appearance of schoolgirls in the mountain pension he was staying in. However, Witold Gombrowicz was more typically tasked with writing book reviews for *Kurier Poranny*, which very often did everything except review the book at hand. The fourth rediscovered article, „Pomiędzy zdrowiem i chorobą”, belongs to this unique genre of Gombrowiczian book review. It is a critique of the Polish translation of France Pastorelli's *Servitude et grandeur de la maladie*. In it are found some of Gombrowicz's very first published reflections on the theme of suffering as well as the problem of communication between someone overwhelmed by pain and the healthy people surrounding him or her.

Copyright © Rita Gombrowicz, 2011
All rights reserved